Stanisław Bełza

BYĆ, ALBO NIE BYĆ
„TO BE, OR NOT TO BE”

(*MÓJ GŁOS W SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ*)

Stanisław Bełza

BYĆ, ALBO NIE BYĆ
„TO BE, OR NOT TO BE”

(*MÓJ GŁOS W SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ*)

„Caveant Consules, ne quid de-
trimenti Respublica capiat”.
„Niech czuwają obywatele, aby
Ojczyzna nie została na szwank
narażona”.

(Cycero, Filipiki)

Wydawca
Jeden Taki Pan

Wydanie piąte

Wydanie w formie elektronicznej

Styczeń 2016

Opracowanie okładki

Skład i łamanie oraz konwersja do formatów pdf i epub:

Dariusz Bugała

Korekta i Redakcja: Jeden Taki Pan

Zbiorczy ISBN dla zestawu formatów pdf i epub:

ISBN 978 – 83 – 943586 – 3 – 1

ISBN dla formatu pdf:

ISBN 978 – 83 – 943586 – 4 – 8

ISBN dla formatu epub:

ISBN 978 – 83 – 943586 – 5 – 5

Wydawca

Jeden Taki Pan

Wstęp

Stanisław Bełza (ur. 03.11.1849 r. – zm. 24.08.1929 r.) pochodził z nietuzinkowej rodziny. Jego ojciec, Józef Bełza, był pionierem cukrownictwa w Polsce, i profesorem chemii oraz członkiem Rady Lekarskiej Królestwa Polskiego. Natomiast brat Stanisława Bełzy, Władysław Bełza, autor znanego wiersza pt. „Katechizm Polskiego Dziecka" (Kto ty jesteś? – Polak mały. Jaki znak twój – Orzeł biały...) był publicystą patriotycznym. Tak więc piętno nauki, sztuki, i patriotyzmu, w tej rodzinie musiało odcisnąć się także i na Stanisławie, który był prawnikiem, podróżnikiem, i pisarzem. Był też działaczem kulturalnym z którego inicjatywy powstało w 1921 roku Towarzystwo Narodowo-Kulturalnej Pracy dla Górnego Śląska, a rok później Biblioteka im. Melanii Parczewskiej, dla której to ofiarował swój księgozbiór. Książka niniejsza jest jedną z kilkudziesięciu, które w swoim bogatym życiu napisał. Stanisław Bełza jest jednym z wielu wybitnych Polaków, którzy ostrzegali naród przed żydowskim zagrożeniem. Opisane przez niego problemy są nadal aktualne, i to nie mniej niż wiek cały temu, gdy książka ta ukazała się po raz pierwszy. Książkę tę powinien przeczytać każdy kto – używając określenia Autora – „ma dyszel w głowie". Książka ta pisana była polszczyzną z 1913 roku, której niektóre słowa uznajemy obecnie za błędne językowo lub anachroniczne. Słowo *Żyd* Autor zapisuje z małej litery, co świadczy o jego głębokiej niechęci i odrazie wobec Żydów, co w obliczu przytoczonych w książce faktów, jest w pełni zrozumiałe. Opisany na początku XX w. przez Stanisława Bełzę żydowski *modus operandi*, niczym się nie różni od tego co dzisiaj obserwujemy. Autor pisze o Żydach niosących postępowe idee, które postępowe były na pozór, a w rzeczywistości niszczyły państwo i naród. Chodziło mu zapewne o darwinizm, feminizm, i socjalizm, które w tamtych czasach były tym, czym dzisiaj są między innymi ogłupiająca ekologia, promujący zboczenia wykrzywiony humanitaryzm i doprowadzona do absurdu tolerancja. Wszystko to jak zawsze pod hasłami „postępowemi". I tak jak wtedy, tak i dzisiaj mamy żydowskie gazety dla Polaków, jak choćby „Gazeta Wyborcza" niejakiego Żyda Adama Michnika przezywanego często Szechterem, który jest bratem oskarżanego o zbrodnie stalinowskie Stefana Michnika. Na marginesie można wspomnieć że ciekawe są także życiorysy pozostałych krewnych Adama Michnika, Heleny Michnik, Ozjasza Szechtera i Szymona Szechtera. Książka ta pokazuje także co mówiono o Żydach, i jak ich oceniano, nieco ponad sto lat temu oraz do jakich wniosków w tamtych czasach dochodzono. Przytoczone przez Autora zostały i samego Stanisława Staszica słowa, których to słów próżno szukać w dzisiejszych pełnych fałszu podręcznikach szkolnych. Autor posługując się cytatem z „Postępu na Rozdrożu" Izabeli Moszczeńskiej-Rzepeckiej (która choć będąc feministką, także była krytyczna wobec żydostwa), wskazuje na bardzo ważną rzecz o której mało się mówi – wszystkie prześladowania jakich Żydzi doznawali, wynikały tylko i wyłącznie z winy ich żydowskiej natury. Można tu jedynie dodać że natury pasożytniczej i wrogiej wobec nie-Żydów. Niniejsza książka jest kopią wydania z roku 1913.

Wydawca

I

Sprawa żydowska daje dziś każdemu Polakowi duże pole do głębokich rozmyślań.

Bardzo słusznie, jest to bowiem sprawa przyszłości naszego kraju, sprawa naszego, „być, albo nie być". Kiedy przed pół wiekiem Wielopolski, wbrew narodowemu naszemu interesowi przeprowadził równouprawnienie żydów, ogół nasz acz wyczuwał niebezpieczeństwo zrównania w przywilejach z Polakami tych, którzy nigdy Polakami nie byli i nie będą, ale za to jak pasożyt roślinę, z soków żywotnych od wieków ogałacali, ku swojej korzyści, Polskę, łudził się nadzieją, iż szlachetnością tą być może, powiększywszy szeregi nasze narodowe, od pnia obcego, do swego przyciągniemy nowe siły, wzmacniając tym krzepkość całego organizmu.

I łudząc się tem, wyciągnął wspaniałomyślnie ręce ku żydom. Ze sprytem, cechującym od wieków tę pełną przebiegłości rasę, ku tym szlachetnym, ale nieopatrznym rękom skierowali się oni całą masą. I zapoczątkowali nową dla siebie i dla kraju epokę. Dla siebie korzystną, dla kraju zgubną.

Bo co mu dali w zamian za to co uzyskali od niego? Co mu dali? Włosy ze zgrozy powstają na głowie, kiedy się chce odpowiedzieć na to pytanie. Gdyż rozejrzymy się uważnie dokoła.

Przed pół wiekiem, tak nazwanych dziś na urągowisko zdrowemu sensowi *żydów-Polaków*, wcale w Polsce nie było.

Były jednolite czarne masy, odsunięte od towarzyskiej styczności z narodem. W brudzie i zaduchu roiły się one po małych miasteczkach, handlowały i rozpajały po karczmach chłopa, lichwą niszczyły nieopatrznych lekkoduchów, w kulturalnem przecież naszem życiu nie brały żadnego udziału.

Nie mieliśmy żydów w dziennikarstwie, w literaturze, w gronie adwokatów, doktorów i inżynierów, do świętych ognisk domowych naszych rodzin, nie przedostawał się ich zabójczy wpływ. Tam zatem, gdzie rozlegały się dźwięki przebogatego naszego języka, byliśmy jednolici i spójni. Mogliśmy radzić nad własnymi interesami, bez obawy, że ktoś obcy nam zupełnie i w gruncie rzeczy wrogi, a dopuszczony do styczności z nami, dzięki temu, iż językowo niczem się od nas nie wyróżniał, rozbijać i rozdwajać nas będzie, na swój żydowski młyn kierując zawsze nasze poświęcenie i dobre chęci.

Równouprawnienie przez Wielopolskiego żydów, jakąż straszną zmianę w tym względzie spowodowało.

Przedewszystkiem czarne obcowyznaniowe masy, mówiące odrębnym językiem, rzeczywiście cudzoziemskie, nie mające nic łącznego z Polską i myślące jedynie o tem, aby ją na własną korzyść niszczyć, nie zmniejszyły się po naszych miastach, owszem wzrosły w budzący postrach rozmiarach, zagarniając w swoje brudne i chciwe ręce to, czego dotąd, nie będąc równouprawnionemi, pochwycić na szczęście nie mogły.

Ale, acz bezsprzecznie wielką, było to mojem zdaniem dla kraju bezporównania mniejszą szkodą, niż zmiana druga, jaka się stała następstwem nieszczęsnego tego równouprawnienia. Oto z łona tych ciemnych obcych nam językiem żydowskich mas, wyczuwając doskonale korzyść dla siebie w rdzennie polskim kraju, *z mechanicznego* spolszczenia się, wyszła stosunkowo nie wielka grupa ludzi, która odrzekłszy się żargonu i święcenia szabasu, pokostem polskim powlekła skórę żydowską.

I w tej odmiennej powierzchownie skórze rozpoczęła niszczycielską działalność. Grając Polaków.

Mając niby polskie cele na widoku. Przywykli do obrazu żyda wstrętnego i pejsatego, mówiącego żargonem, tą ohydną parodyą języka, i zamkniętego w swojem odosobnieniu, gdy ujrzeliśmy tuż przy sobie żyda zewnętrznie do nas upodobnionego, w tużurku i rękawiczkach, i mówiącego czysto i poprawnie po polsku, zdaliśmy się być u szczytu szczęścia.

Nie bacząc więc na to, że ten żyd, jak się wyraża Mickiewicz: „*urękawiczniony*", był w stosunku do masy żargonowców tem, czem drobna wysepka na olbrzymim oceanie, że pozbywszy się swej skorupy i dopuszczony do towarzyskiego obcowania z nami, ze swej polskości powinien był zdać przynajmniej egzamin, błogosławiliśmy nieledwie równouprawnieniu go z rdzennymi Polakami, zamykając oczy na niebezpieczeństwo, wypływające dla nas z tej sztucznej i nagłej, nie licznych zresztą osobników, przemiany. To, długo nie kazało na siebie niestety czekać. I po pięćdziesięciu latach tej uciechy z równouprawnienia, doszliśmy do czego?

Oto, że zagarnąwszy cały prawie nasz handel i przemysł w swoje ręce, *dla własnego interesu, i bałamucenia nieopatrznych*, wyłoniła z siebie, stosunkowo nie wielką gromadę ludzi, mechanicznie z polskością związanych, tak zwanych żydów-Polaków, którzy acz tak nieliczni, dzięki sprytowi i przebiegłości, a także wielkiej swojej cnocie, której się (przyznać to muszę) uczyć od nich powinniśmy: *solidarności*, wyparli nas z niezliczonych placówek, na których dla dobra kraju staliśmy dotąd silną nogą.

Mamy więc dziś nie tylko nasze miasta nieledwie że w wyłącznem posiadaniu żargonowych żydów, nie tylko stolicę naszą Warszawę, upodobnioną już w części do Jerozolimy, ale mamy na domiar wszystkiego, w tak zwanych zawodach wolnych, taki procent tych mechanicznie tylko spolszczonych jednostek, że każdy w kim serce polskie bije, bez trwogi pomyśleć nawet o tem nie może.

II

Zatem z równouprawnienia żydów, Polska osiągnęła takie korzyści:

1) Czarna masa żargonowców, nie tylko że nie zmniejszyła się w kraju, ale owszem, zdobywszy bez żadnego wysiłku, dzięki naszej ślamazarności i nieopatrzności, doskonałe warunki rozwoju, posiadła nasze miasta, zażydziła nam do niesłychanych rozmiarów naszą stolicę, wtargnęła jak horda Tatarów tam, gdzie dotąd noga jej niszczycielska nie postała...

2) Wyłoniła z siebie inteligencyę, która mechanicznie zlawszy się z polską, wyparła nas w znacznej części z dotychczasowych wyłącznie naszych placówek, zaważyła za silnie procentowo w adwokaturze, zawodach lekarskim i inżynierskim, obsiadła gromadnie większość banków i stowarzyszeń ekonomicznych, jadem zarazy, przy pomocy opanowanej przez siebie tak nazwanej postępowej prasy, zatruwać zaczęła kraj...

Wyczekując tej chwili, gdy *dla tryumfu żydowstwa*, wpadnie on w przepaść, i pozbawiony bytu politycznego, zduszony doszczętnie zostanie w żydowskim uścisku. Na tem jednak zabójczy jej dla całej Polski wpływ nie ograniczył się. Sięgnął głębiej. Do narodowego rdzenia. Do myśli naszej. I tę świętą dotąd i czystą, w znacznej części nam znieprawił. A stało się to, zdumiewająco prędko, po tem nieszczęsnem Wielopolskiego równouprawnieniu.

W rok czy dwa lata po upadku Szkoły Głównej, w niecałe lat dziesięć po zejściu z widowni politycznej twórcy równouprawnienia. Pamiętam tę chwilę. Grono prawników, wychowańców tej niezapomnianej uczelni, zrozpaczone widokiem kraju po powstaniu, postanowiło go odrodzić.

Drogą nauki. Drogą realnej pracy u podstaw. Sądząc, skądinąd zupełnie słusznie, że wiedza jest silną dźwignią dla każdego, chcącego żyć narodu, i że brak oświaty był jedną z główniejszych przyczyn naszych narodowych klęsk, postanowiło ono założyć własny organ, w którymby służyło wyłącznie jej interesom, niosąc śmiało i odważnie sztandar postępu.

I powstała takim sposobem pamiętna w dziejach obłąkania myśli naszej: „Niwa". Powiadam obłąkania, bo jakże wzięli się do dzieła, ci pożądający światła młodzieńcy? Oto do składu redakcyi, złożonej z sześciu osób, powołali aż trzech żydów, oto jak gdyby na urągowisko własnym siłom, na stanowisku redaktora postawili żyda.

I gdybyż jeszcze ten żyd był czemś wybitnem, zaznaczył się czemś dodatniem i wyjątkowem. Gdzie tam! Była to umysłowo pospolitość w całem znaczeniu tego słowa, o wyrazie twarzy i akcencie języka typowo żydowsko-nalewkowskim, o charakterze, o którym mogłaby coś niecoś ciekawego powiedzieć palestra warszwska, gdyż później niefortunny ten redaktor „Niwy" był jej członkiem.

Czy ci założyciele polscy tego postępowego organu, który w nagłówku swoim miał wypisane słowa „*Wiedza to potęga*”, nie czuli nicości tego, którego w charakterze redaktora na czele swojego pisma postawili? O to ich bynajmniej nie posądzam, każdy bowiem, kto się o niego otarł, widział doskonale, z kim ma do czynienia, ale byli oni już tak zasymilowani przez żydowski wpływ, tak przeświadczeni o tem, że żydzi są najlepszymi sługami postępu polskiego, iż przez głowę im nawet nie przeszło, aby kto inny, jak żyd, mógł być firmowym przedstawicielem powołanego przez nich do życia pisma.

To oddanie „Niwy” pod kierunek żydowski, od pierwszej chwili wywołało ten skutek, jaki się ujawnia zawsze i wszędzie tam, gdzie żydzi wywierać mogą swój wpływ.

Oto pojawiły się w niej znamienne i pamiętne mi dobrze korespondencye: *Z nad Pełtwi i znad Wisły*, których jedynym celem było splugawienie naszej przeszłości, a przedewszystkiem wiary znakomitej większości mieszkańców naszego kraju.

Nie tykając jednem słowem *wybranego ludu*, największego wyzyskiwacza cudzej pracy, jakiego znał świat, nie zaczepiając w sposób najdelikatniejszy nawet żydowskiego religijnego fanatyzmu, najdzikszego, jaki przejawił się w kolei długich wieków, autor tych korespondecyi, zaczął prowadzić taką cynicznie bezczelną nagankę nie już na katolicki kler, ale na religję, że w każdym, w kim uderzało serce polskie, musiała powstać odraza do organu, który w interesie żydowstwa siał zuchwałe wiatry, a żeby z tego żydowstwo plon błogosławiony, a Polska zebrała burze!

I powstała też, i wszyscy, bynajmniej nie wstecznicy i zacofańcy, ale mający Polski nie Judei interesy na widoku, odwrócili się od tak rozumianego postępu, gdyż czuli instynktownie, że prędzej później, nam śmierć, a żydom tryumf zgotować on najniezawodniej musi.

Żydowsko więc polska „Niwa”, po paru latach wegetowania i szkodnictwa, dostała się do innych lepszych rąk, ale dzieje jej powstania, to – powtarzam – dzieje obłąkania myśli polskiej, znieprawienia jej przez pierwszą, jaką równouprawnienie wyprowadziło na świat, falangę tak nazwanych żydów-Polaków.

I pierwszy objaw, nie asymilacyi żydów przez polskość, ale asymilacyi Polaków przez żydowskość.

Że ten objaw zaznaczył się tak prędko, świadczy to z jednej strony o naszej lekkomyślności, z drugiej, o zabójczych zamiarach *mechanicznie spolszczonych* żydów, którzy zaledwie wyszli ze swojego zacofanego, żargonowego środowiska, i w uczelniach polskich nasiąkli kulturą polską, aliści przy pomocy tych, którzy ich jak swoich do swojego grona przyjęli, zapragnęli kulturę tę znieprawić, i pod hasłami postępowemi, nie tykając fanatyzmu żydowskiego i swojego świata, dyszącego nienawiścią do wszystkiego, co nieżydowskie, przez zatruwanie, młodych wrażliwych dusz, gotować nam zgubę, a sobie moc i wywyższenie.

To obłąkanie myśli polskiej, to zatruwanie młodych wrażliwych dusz, szukających postępu, a znajdujących rozkład, dążących do prawdy, a osiągających tryumf Izraela, zapoczątkowane przez „Niwę”, w 10 lat po przeprowadzeniu równouprawnienia, od tej chwili rozpoczęło się dokonywać w kraju całym na potęgę.

I stała się rzecz okropna, i gdzieindziej nie widziana. Wszystkie radykalne nasze żywioły, wszyscy, którzy przeciwstawiali się zachowawcom, i na swych, chorągwiach wypisali hasło „postępu”, zaciągnęli się do szeregów żydowskich, uznali żydów za ideowych swoich braci, nie dość tego, poszli pod ich komendę, rozpoczęli pracę nie dla Polski w rzeczywistości, ale dla tych, którzy Polski byli najstraszniejszymi wrogami.

III

Przez to swoje nieszczęsne, po stokroć nieszczęsne równouprawnienie wrogich od wieków Polsce cudzoziemców z rdzennymi Polakami, w chwili, gdy ci ostatni osłabieni i ociemnieni dwudziestopięcioletnimi rządami Paszkiewicza, nie mieli jeszcze w sobie sił dostatecznych do przeciwdziałania zabójczym żydowskim wpływom, Wielopolski stworzył prawdziwe u nas Eldorado dla żydów.

Takie, jakiego nie posiedli oni nigdzie na świecie. Rozwiązał im ręce...

Z nizin społecznych wyprowadził na wyżyny...

Opancerzył im pięść, by nią druzgotać mogli wszystko, co im się przeciwstawiało na drodze ich niszczycielskiego pochodu.

Naturalnie, zrobił to w najlepszej wierze, w nadziei, że tym sposobem pozyszcze nowych obywateli dla kraju, do narodowego pługa wprzęże nowe siły. A w każdym razie nie przypuszczając nawet, jak wielką tym sposobem szkodę krajowi wyrządzał.

Być może, że gdyby nie bieg wypadków tragicznych, choć nieuniknionych, które po kilku miesiącach wszechwładzy w Polsce, zmiotły go z wysokiego stanowiska, być może, że szkoda ta nie byłaby dla kraju tak straszna.

Że stojąc u steru rządu, potrafiłby sparaliżować złe żydów wpływy, przez nieprzerwane wzmaganie narodowej oświaty, podnoszenie ekonomicznego dobrobytu rdzennych Polski mieszkańców, zakładanie ludowych banków i kas pożyczkowych, współudział czynny w zawiązywaniu kulturalnych stowarzyszeń i związków. Być może.

Ale to, że wierzył w trwałość swoich w Polsce rządów, i tę reformę (jeśli równouprawnienie obcych w ogóle reformą nazwać można) zamierzał uzupełnić innemi, poczętemi w myśli odrodzenia Polski, winy jego nie zmniejsza, prawdziwy bowiem mąż stanu winien przewidzieć złe i dobre, i pracując nie tylko dla *dziś*, ale i dla *jutra*, wiedzieć o tem, że to *jutro* brzemienne jest zawsze i wszędzie, a zwłaszcza w naszym nieszczęśliwym kraju, niespodziankami.

On tego w rachubę nie wziął, gdy więc padł, padło wszystko z nim razem, co dobrego zapoczątkował dla Polaków, pozostało to, co dla Polaków było złem. Równouprawnienie cudzoziemców. I zrodziła się taka sytuacya: Po zgnieceniu powstania, nastały czasy aż nadto nam wszystkim pamiętne.

Kraj osłabiony upustem krwi, ogołocony został nie tylko z dotychczasowych swoich praw, ale w znacznej części i z ekonomicznych swoich zasobów.

Nie dość na tem, jak to się zwykle po każdym wielkim, nieudanym wysiłku dzieje, osłabł moralnie.

Popadł w apatyę... Przestał ufać własnym siłom... Uczuł, że dzieciom jego podstawa usunęła się spod nóg.

I gdy dawniej lekkomyślnie być może, ale bądź co bądź podniośle, wierzył w *nadzieję przeciwko samejże nadziei*, teraz, widząc chmury nad swoją głową, nie dostrzegał tych słabo wprawdzie świecących, ale zawsze świecących gwiazd, których Bóg nie gasi nigdy na widnokręgu najnieszczęśliwszych nawet ludzi i narodów.

Stan ten straszny, dziś już należący do bezpowrotnej przeszłości, dla równouprawnionych z nami tak nagle żydów, stał się tem, czem dla rybaków napędzenie przez huragan z morza w koryto rzeki milionów ryb.

Wszyscy byli zgnębieni i wytrąceni z równowagi, bo żarł ich serce ból szarpiący wnętrzności nieszczęśliwej ojczyzny, oni nie mający ojczyzny, byli na ten ból obojętni...

Wszyscy pełni rozpaczy, zamknęli się, niby pokutnicy we wnętrzu swoich ognisk domowych, i tam bezradni, jakby sparaliżowani przeżywali po raz wtóry to, co przeżył tak świeżo cały kraj, oni nie doznawszy najmniejszego duchowego wstrząśnienia, rozwinęli całą swoją energję, aby sytuacyę wyzyskać dla siebie, skorzystać z chwili apatyi ogólnej i obezwładnienia ogólnego.

A że świeżo właśnie nadano im niebacznie prawa, więc mieli możność po temu...

A że w ich pierś nie uderzył taki cios, jaki dopiero co uderzył w naszą, że ich głowy obojętne na to, co dotknęło Polskę, nie doznały tego, co nasze wstrząśnienia, przeto ta ich pierś odetchnęła szerzej od naszej, te ich głowy sprawniej dla ich korzyści, a naszej zguby, zaczęły rozmyślać i pracować.

I myślały, i pracowały przez lat długich pięćdziesiąt. Popatrzmy na owoce tych myśli, na skutki tych prac. Popatrzmy, a jeśli nie zadrżymy, nie zadrżymy nigdy, choćby się świat cały od piorunów zapalił.

Owoce te zaczęli sadzić żydzi na nieszczęśliwej naszej glebie rękami czarnych żargonowych tłumów, które przy swej odrębności pozostały, i rękami swojej inteligencyi, która zlawszy się mechanicznie z nami, przyjęła w codziennem życiu, w miejsce swojego, będącego urągowiskiem prawidłowego języka, wspaniały i najbogatszy w dźwięki na świecie, język nasz.

Pierwsi stanowili armję, drudzy sztab. I na dwa fronty zaczęli wymierzać nam ciosy. Podkopywać nasz ekonomiczny, kulturalny byt. Dzięki prawodawstwu opiekuńczemu pod pewnymi względami dla włościan, nie mogąc przypuścić szturmu do polskiej wsi, czarna, obcowyznaniowa i obcojęzyczna armja, przypuściła go do miast polskich, czując niezmierną ich ważność w kulturalnem naszem życiu.

I, ze wzruszeniem głębokiem to piszę, miasta te nieledwie nam już wydarła. Chcecie dowodów? Oto one, wyjęte ze statystyki ludnościowej naszego kraju.

Wedle urzędowego zestawienia, dołączonego do projektu samorządu miast dla Królestwa, ogłoszonego przez Towarzystwo Pracy Społecznej w Warszawie, w d. 14 stycznia 1910 r. Królestwo Polskie liczyło 2,735,786 ludności miejskiej, zamieszkującej 118 miast i miasteczek.

Wiecie, ile w nich było w tym czasie żydów?

Milion sto trzydzieści sześć tysięcy, sto sześćdziesiąt sześć!

Ale pozostałej reszty nie stanowiliśmy jeszcze my. Należeli do niej Rosyanie w liczbie bez mała 150,000 i Niemcy, których ta statystyka nie określa ściślej, ale których przecież w Łodzi i innych centrach przemysłowych jest przeszło ćwierć miljona.

Więc zestawiając żydów z Polakami w miastach etnograficznej Polski, wypadnie, że nie licząc rosyjskiego i niemieckiego żywiołów, mamy w nich przeciwko sobie równą liczebnie siłę żydowską.

Równą, biorąc wszystkie te miasta za jedność, ale gdy się w nich rozpatrzymy bliżej, ujrzymy z przerażeniem, że w wielu giniemy liczebnie w żydowskiem morzu.

I tak: w Łomży na 27 tysięcy przeszło mieszkańców, jest Polaków tylko 12,000 (setki opuszczam), w Lublinie na sześćdziesiąt pięć tysięcy – 26,000, w Suwałkach na dwadzieścia pięć tysięcy – 9,000, w Siedlcach na trzydzieści tysięcy – 11,000, w Zduńskiej Woli na dwadzieścia pięć tysięcy – 9,000.

Tak jest w miastach większych, w mniejszych stosunek ten jeszcze straszniej się przedstawia. Łęczyca liczy żydów dwa razy więcej, niż Polaków, ale Szydłowiec – przeszło trzy razy, Działoszyn – pięć razy, a Kałuszyn aż sześć razy!

Ale jest jedno miasto w Polsce, w którem na 25 żydów przypada jeden Polak. Tem są Szaki na północy Królestwa. Tu mamy już prawdziwą Jerozolimę, wśród bowiem 2,580 żydów, ssących jak pijawki całą okolicę, wegetuje Polaków stu, literalnie aż stu!

Proszę zwędrować cały, jak szeroki i długi świat i pokazać coś podobnego.

Widzimy więc, że przez te pół wieku równouprawnienia, armja żydowska nie próżnowała, *„wędrowne szczury”,* jak żydów słusznie nazwał Aleksander Świętochowski, nie zasypiały sprawy, pleniły się i rozłaziły na wszystkie strony, biorąc w swe posiadanie to, co im dla ich niszczycielskich celów było najpotrzebniejsze: miasta Polski.

Bo z boleścią serca przyznać to trzeba, że nie tylko w tym czasie zaplugawiły je sobą, ale i w znacznej części wydarły je już nam, posiadłszy połowę nieruchomej ich własności.

Ta sama statystyka mówi nam o tem. Na liczbę, domy w naszych miastach już tylko w połowie są w naszych rękach, druga jest przynależytością wrogich przybłędów, ogniskujących w nich zabójczą dla Polski działalność.

Tak jest na prowincyi, tak jest i w naszej stolicy, którą tak dumni jesteśmy, w Warszawie bowiem jest nas już tylko 67 procentów, wstręt budzący żargon rozlega się głośno dokoła nas, jak gdybyśmy i tu gospodarzami nie byli.

A nasze domy?

Na 4,542, w rękach żydów zaprzepaszczonych już ich zostało 1,741, jeżeli się jednak zważy, że posiadają oni nie najmniejsze, a w pozostałej reszcie znajduje się 490 Rosyan, i nieoznaczona bliżej w statystyce liczba Niemców, to zaiste statystyka ta pociechy w serca nasze również nie wleje.

Zażydziła zatem nam, czarna najstraszniejsza dla nas armia naszą stolicę i prowincyę, rozsiadła się tu i tam, niby na własnych od wieków śmieciach, i wyzyskując tych spomiędzy nas, którzy pod jej dachem zmuszeni zostali szukać schronienia, jednocześnie stworzyła dziesiątki tysięcy gniazd handlowych, pod swoje skrzydła tuląc żydowskie kupiectwo i rzemiosła, ze szkodą naszą przyczyniając się do ich rozrostu.

Rozrosły się też one, jak chwast nie niszczony troskliwą ręką, rozpuściły po całym kraju korzenie, wysysając z niego wszystkie żywotne soki. Czekając cierpliwie aż zczeźnie. Aż się stanie podścieliskiem rozkwitu żydowstwa.

Powinszować więc sobie możemy, armja niosąca śmierć Polsce, mając przez równouprawnienie rozwiązane ręce, pola przez te półwieku nie zaspała, pracowała gorliwie nad zniszczeniem naszem, jak kret podcinała płonki naszego narodowego bytu, wyczekując cierpliwie tej chwili, gdy nasza Polska, szlachetna matka Koperników, Kochanowskich, Sobieskich, Kościuszków, Mickiewiczów, Szopenów, Matejków, Sienkiewiczów i Paderewskich, stanie się plugawą nową Judeą.

W pięknej tej pracy nie była ta czcigodna armja odosobnioną. Wspomagał ją, jej spolszczony mechanicznie sztab. Popatrzmy uważnie na jego w tym czasie działalność.

IV

Działalność żydowskiego sztabu, tych śmiesznie drobnych w stosunku do czarnych mas, tak nazwanych żydów-Polaków, przejawiła się w ciągu ubiegłego półwiecza w dwóch głównie kierunkach:

1) w pochwyceniu w swoje ręce, o ile można jak najliczniejszych gałęzi narodowej pracy, i wypieraniu nas z placówek, na których dotąd staliśmy silną nogą...

2) przy pozornem trzymaniu z nami i podporządkowywaniu się naszym narodowym ideałom, w służeniu interesom żydowstwa, dopomaganiu mu do ekonomicznego uzależnienia od siebie, i ostatecznego zgnębienia Polski...

Rozszczepienie jej zwartości pseudo-postępowymi, a właściwie nacyonalistycznymi żydowskimi klinami, zahypnotyzowania hasłami ogólno ludzkiemi, tak silnie wstrząsającymi zawsze duszą naszej szlachetnej młodzieży, by Polska nie poczuła nawet przejścia z uśpienia swego do śmierci.

Więc w chwili, gdy po strasznym ciosie, jaki w roku 1863 uderzył w nasz nieszczęśliwy kraj, byliśmy pod brzemieniem klęsk zboleli i osłupiali, do rozkładowej roboty współwyznawców i współplemieńców u dołu, dołączyli swoją u góry, dążąc z nimi do jednego i tego samego celu.

I gdy tamci, niby lawa, rozleli się po naszych miastach, zagarnęli pod swoje czarne skrzydła nasz handel i przemysł, ci ławą wcisnęli się do tak nazwanych zawodów wolnych, adwokatury, inżynieryi, medycyny i dentystyki, obsiedli banki i stowarzyszenia ekonomiczne, usuwając nam w nich coraz więcej gruntu spod nóg.

I doszło przy ich solidarności do tego, do czego dojść musiało: nie mogąc nas wszystkich wyrzucić z zawodów tych poza nawias, wyrzucili znakomitą ilość, w samej Warszawie w jednej czwartej części adwokaturę i dentystykę, w jednej piątej medycynę, zamienili na wyłącznie swoją dziedzinę.

Przyznać trzeba, że ze stanowiska interesów kraju nie byłoby w tem nic zdrożnego, ile że niektórzy z pomiędzy nich odznaczali się i odznaczają niezaprzeczonemi zdolnościami, tak jak bynajmniej zdrożnem i szkodliwem dla niego nie jest, że w tych zawodach znajdujemy Polaków pochodzenia niemieckiego i wyznających religję znacznej mniejszości mieszkańców Polski – gdyby asymilacya z polskością przerodziła, jak tych ostatnich i ich dusze, zrobiła z nich takich Polaków rzeczywistych, jakimi ci ostatni bezsprzecznie są.

Ale ona tego nie dokonała. Prześlizgnęła się po ich powierzchni. Pozostawiła ich rdzeń nietkniętym.

Doszło więc tylko do tego, że żydowstwo obce nam i wrogie, rozczepiło się na dwa o odmiennych chorągwiach obozy, ale ulegając jednej komendzie, w obleganiu nas i wypieraniu z zajmowanych stanowisk, nie różniło się niczem.

Pracowało według jednolitego planu, do czego znakomicie dopomagały mu humanitarne i rzekomo postępowe hasła, jakie złączeni mechanicznie z nami żydzi wygłaszali z wielkim hałasem, szeregując dokoła siebie prawie wszystko w Polsce młodej, co przesiąkłe wolnomyślnością, wprzęgło się w służbę radykalnych kierunków.

Że tak jest rzeczywiście, kto z niezależnych od żydów, a mających oczy i mózg na właściwych miejscach, wątpić dziś o tem może, kto sądzić, że ci po polsku mówiący żydzi, są czem innym, niż te czarne tłumy z którego wyszli, i ku którym, ze szkodą interesów naszych, ciążą i ciążyć będą z żywiołową potęgą, której żadne asymilacyjne mrzonki osłabić nigdy nie będą w stanie? I ulegać złudzeniu, że nawet najszlachetniejsi z pomiędzy nich, boć jak w każdem zbiorowisku ludzkiem i wśród żydów i tacy się znajdują, w chwili krytycznej zawsze staną po stronie interesów polskich, ale nie interesów żydowstwa, a którem ich łączą tysiące nici, odpornych jak cięciwy ze stali na wszelkie nożyce asymilacyjne? Kto? Kiedy kilkadziesiąt lat temu przedstawiciele giełdy warszawskiej, wśród których rej wodzili i wodzą, tak nazwani Polacy-żydzi, towarzysko złączeni z nami i tą samą co i my mową (a nawet od wielu z nas poprawniejszą) wyrażający swoje myśli, uznali za stosowne wystąpić w Petersburgu z memorjałem, będącem obrazem ich uczuć i przekonań, stanęli na stanowisku tak ciasno żydowskiem i wręcz polskości nawet wrogiem, iż nie zawahali się wobec sfer miarodajnych rosyjskich, nazwać kraj nasz bez żydów: *„prawdziwą pustynią”*.

Kiedy wypędzeni z Rosyi litwacy, jak dzika horda Tatarów, wtargnęli do Królestwa, i przeciwstawiwszy się od razu polskości dla przypodobania się rządowi, zuchwalstwem swem i arogancyą obudzili wstręt i pogardę w każdym nawet uczciwym Rosyaninie, znalazł się w Warszawie znany doktór żyd-Polak, co publicznie podniósł głos w ich obronie, ośmielając się nawet twierdzić, że pod pewnym względem, szkodnicy ci i *wędrowne szczury*, pożytek nam przynieść mogą.

Kiedy na skutek przeciwpolskiego stanowiska, jakie w ostatnich czasach zajęło całe żargonowe żydowstwo, wezbrało w Polsce oburzenie przeciwko niemu i rozległy się nawoływania do samoobrony, wystąpił dwukrotnie w jego interesie znany również pochodzenia żydowskiego Polak adwokat, były nawet nasz poseł w Petersburgu, starając się znowu nas uśpić i z równowagi wytrącić twierdzeniem, że nie należy z niem zadzierać, gdyż nie wielkiej jedynie łaski rządu potrzeba, abyśmy znaleźli w niem wrogów śmiertelnych!

Jak gdyby to co powiedział nie dowodziło właśnie przeciwnego, tego mianowicie, że gdy ma się w swoim ogrodzie taką żmiję, należy przez instynkt zachowawczy dążyć do tego, drogą wzmagania własnych materjalnych sił (*broń Boże nie pogromów i gwałtów*) ażeby żmija ta osłabioną została.

Co go tak zaślepiło, że z podobną samobójczą dla nas Polaków radą, byśmy pielęgnowali spokojnie żmiję jadowitą i mściwą, nie zaś raczej starali się jadu ją pozbawić, wobec nas wystąpił, rozstrzygnie to każdy, kogo Bóg dyszla w głowie i chłopskiego rozumu nie pozbawił.

Kiedy w chwili wyborów ostatnich na posła warszawskiego do izb prawodawczych, grono obywateli łudzących się mrzonkami asymilacyjnemi, celem

nie dopuszczenia do tego, by przedstawicielem Warszawy został żyd, a nie chcąc jaskrawo przeciwstawiać się żydowstwu, wysunęło przeciwko kandydaturze zasłużonego wielce polskości byłego prezesa naszego Koła nad Newą, ale nie mile widzianego przez żydowstwo, Romana Dmowskiego, kandydaturę kompromisową, Polacy-żydzi, jak to już zaznaczyłem wyżej, ofiarowali się nam z usługami, gdy jednak przyczynili się tym sposobem do osłabienia szans obywatela i polityka tej miary, co Dmowski, którego żydowstwo za żadną cenę do Petersburga wysłać nie chciało, a kandydat kompromisowy w mowie wyborczej, ośmielił się wypowiedzieć kilka mniej miłych dla żydów frazesów, choć na ogół nie był im nieprzyjaznym, odstąpili bez ceremonii swoich towarzyszów broni, stawiając się na stanowisku nie polskiem tylko żydowskiem, i umożliwiając żydowstwu tryumf, o jakiem ono marzyć nawet nie mogło.

Kiedy zatrwożeni o przyszłość naszego Towarzystwa Kredytowego, obywatele Polacy Warszawy, postanowili wystąpić do Petersburga z żądaniem, aby przez odpowiednie środki nie dopuszczono do tego, by dostało się ono do żydowskich rąk, niemniej od tamtych żydów-Polaków znany w naszem mieście żyd bankier, w interesie również nie polskim, tylko żydowskim wygłosił publiczną mowę, ujmując się za tymi, co kulturalnie na bezporównania niższym od niego stojący poziomie, byli i są jako żydzi bliżsi mu przecież o wiele od nas, których język posiadł, i z którymi jak równy z równymi, w towarzyskich stosunkach przestaje.

I wreszcie, jak powiadają Anglicy – „*last but not least*” „*ostatnie ale nie najmniej ważne*”, kiedy na niedawnem zebraniu Towarzystwa Kultury Polskiej, wystąpiono z wnioskami naturalnemi, aby do grona jego członków dopuszczać tylko tych co się za Polaków uważają i przez nie dążyć do odżydzenia naszych miast, znowu żydówka-Polka poparta przez grono zasymilowanych tak jak i ona mechanicznie z polskością współideowców, wystąpiła przeciwko temu z gwałtowną opozycyą, gdyż wniosek ten, droższym jej o wiele od Polaków, żydom, był pod wieloma względami niedogodny.

Ale dość tego, przykładów mnożyć już nie chcę, więc pomijam i rolę prasy polskiej przez żydów kierowanej, a będącej, jak się dowcipnie ale prawdziwie wyraziła pani Iza Moszczeńska, nie prasą *polską dla żydów*” ale „*żydowską dla Polaków*”, i te zabiegi poza granicami Królestwa, by sparaliżować ruch samoobrony jaki się w społeczeństwie naszem przeciwko żydem obudził.

I tu i tam działaczami są zasymilowani niby Polacy, mówiący tak jak i my po Polsku, w publicznem i towarzyskiem życiu obcujący z nami, mający dobro Polski tak jak i my pozornie na celu.

Co widzę, gdy się ich działalności uważnie przyglądam?

Oto że wszyscy oni bez wyjątku, i ci autorzy memoryału giełdowego z lat ośmdziesiątych zeszłego wieku, i ten doktór okulista, człowiek bezsprzecznie wysokiej kultury, wielki czciciel i znakomity znawca Mickiewicza, i ten poseł adwokat, i ten bankier i ta dama, która tak oponowała przeciwko wnioskowi aby kulturze polskiej nadać polski charakter, i ci wreszcie redaktorzy i współpracownicy pism żydowskich po polsku drukowanych – wszyscy oni, bez żadnego wyjątku, podobnie jak mniej głośni od nich żydzi w adwokaturze, medycynie, dentystyce, inżynieryi i innych wolnych zawodach, ciałem do Polski, duszą przecież do żydowstwa należą.

I przejąwszy to od nas co im potrzebnem było, nie dla naszego, lecz dla ich własnego interesu, są Polakami o dwudziesto cztero godzinnem wypowiedzeniu, ani na jedną chwilę nie wachając się, po czyjej stronie, polskiej czy żydowskiej stanąć mają w chwili, gdy te dwa interesy wejdą z sobą w kolizyę. Gdyż taka jest ich dusza. Mam ich za to potępiać, mam rzucać za to kamieniami na nich?

Jako żywo nie, bo każdy winien słuchać nakazu własnych przekonań, ale boleć mogę, że gdy spolszczeni Niemcy ewangielicy wsiąkli w nasz organizm, ukochali nasze ideały i stali się tak dobrymi Polakami jak i my, oni pozornie jeno zleli się z nami, w gruncie zaś rzeczy pozostali sobą.

Tem samem, tylko o wiele kulturalniejszem, co ta czarna masa, która ich wydała.

Ale nie rzucając na nich za to kamieniem, bolejąc tylko nad nimi, mogę i powinienem jako Polak, nad wszystko przekładający interes mojej nieszczęśliwej ojczyzny, wzbudzić w sobie jedną świadomość:

Że w pracy dla tej ojczyzny nie wolno mi i nie należy wyciągać ręki ku nim,

Że chcąc jej służyć, winienem jej z całych sił *służyć sam*.

Gdyż ich pomoc więcej mi szkody niż pożytku przynieść może.

Gdyż najlepsi nawet z pomiędzy nich, na przyszłość Polski mojej pod kątem interesów żydowstwa patrzeć zawsze będą.

Ale tę świadomość wzbudzić w sobie winien i cały kraj,

I nie łudząc się mrzonkami asymilacyjnemi, iść naprzód o własnych siłach, nie liczyć na nich i na nich się nie oglądając, do wielkiego celu, którym jest materyalne i duchowe wzmożenie i odrodzenie.

Dość mu Bóg dał siły i wiary w siebie, aby oparty o kulturę chrześcijańską własną, do tego celu doszedł.

V

Przez te pięćdziesiąt więc lat po równouprawnieniu, mieliśmy w kraju naszym taki obraz:

Czarne tłumy żargonowego żydowstwa, zaplugawiając nam Warszawę i prowincyonalne miasta, zagarniały coraz bezwzględniej w swoje szpony nasz przemysł i handel.

Mechanicznie spolszczeni żydzi wypierali nas z placówek przedtem wyłącznie naszych, i grupując przy sobie radykalną naszą młodzież, przez pośrednictwo prasy urabiali korzystnie dla siebie i swoich interesów opinję publiczną.

A jednocześnie, obcując towarzysko z nami i uzależniając wielu z nas od siebie, w koło swoich myśli i dążności wciągali całe legjony.

A że w dniach prób ciężkich, jakie w powstaniowych czasach z dopuszczenia Bożego na nas przyszły, opowiadali się zawsze przy nas, że krzyk naszego protestu przeciwko naporowi z zewnątrz wzmagali własnym krzykiem, że powierzchownie niczem od nas się nie różniąc, od czasu do czasu dawali nawet upust ofiarności na kulturalne nasze cele, przeto legjony te powiększali nieledwie z roku na roku, tłumiąc w nich, jako szczerze polskich obawy wobec coraz większego zażydzania się kraju, podsycając w nich nadzieję, że przy ich właśnie pomocy dokona się wielkie dzieło asymilacyi całego polskiego żydowstwa.

I doszło do tego, że w głowach wszystkich nieledwie się przewróciło, że skupili się przy sztandarze żydowskim nieledwie wszyscy, przypisując spolszczonym żydom, dla dobra kraju, niemal opatrznościową misyę.

Interes więc jednych, obałamucenie drugich, trzecich bezmyślność, pędziły wodę nie na nasz młyn, gotując naszemu krajowi przyszłość, *jakiej rdzenni obywatele, nigdzie jeszcze swojemu nigdy nie zgotowali*.

W tej harmonii przecież polsko-żydowskiej, spokojniej jak śmierć, ale i jak śmierć okropnej, w tym romansie, w którym jeden z ukochanych skazany był na nieuchronną zagładę, dał się słyszeć na szczęście zdrowy zgrzyt.

Podniósł go człowiek nieznany i nieśmiały, nie na widoku, lecz na uboczu stojący, najmniej zdawało się podobny do tego, by w jego głowie urodzić się mógł szerszy i głębszy program.

Człowiekiem tym był Jan Jeleński.

Bez wyższego wykształcenia i ogłady salonowej, samouk w całem znaczeniu tego wyrazu, miał on, czego wielu mędrszym i głębszym niedostawało: *wzrok jasny, i dyszel w głowie*.

Widział więc to, czego zahypnotyzowani nie widzieli inni.

To rozumiał, co w innych głowach obałamuconych, pomieścić się nie mogło.

Że ta harmonja i romans polsko-żydowski, to nic innego, jak naszego kraju zguba.

Że koszta ich zapłaci nie kto inny, tylko my.

I założył „Rolę”.

Bez żadnych prawie materyalnych zasobów, bez pomocy niczyjej, przy przeszkodach, któreby mniej od niego energicznego powaliły na ziemię.

I tę chwilę, jak tej nieszczęsnej polsko-żydowskiej „Niwy”, doskonale sobie przypominam.

Pamiętam, jak pozbawiony współpracowników, sam zapełniał piórem swojem całe szpalty, jak w słowach energicznych uderzył od pierwszego numeru swego pisma w dzwon niebezpieczeństwa wewnętrznego, nawołując do obrony przed żydami.

I jak jedni szydzili z niego, poczytując go za szkodnika narodowego i nieledwie pozbawionego zdrowych zmysłów, podczas gdy drudzy, którym oczy otwierał, wyczuwali w nim niemal zbawcę narodu.

Ale szyderstwo pierwszych trwało stosunkowo nie długo. W miarę, jak wychodziła „Rola”, pomnażały się szeregi tych, którym kataraktę on z oczów ździerał, pismo zaczęło zdobywać coraz większą liczbę czytelników, jego ogłoszenia zaczęły zapełniać co tydzień po kilka kart.

To wniosło przestrach w świat żydów i ich polskich stronników, kazało im zająć stanowisko obronne.

Śmiać się więc nad rzekomo szalonym czynem zuchwałego zdaniem ich człowieka przestali, rozpoczęli, nie przebierając w środkach, walkę na śmierć i życie, by obalić coraz groźniejszego nieprzyjaciela.

Który sielance grunt spod nóg usuwał,

Przestrzegał owce, by miały się na baczności przed wilkami.

Walka była zacięta, nie zniechęciła ani zastraszyła przecież tego niepospolitego i wytrwałego człowieka. Im energiczniej na niego nacierano, tem dzielniej ataki odpierał, a że w grze swojej miał wszystkie atuty w ręku, że gospodarka żydowska w Polsce wytwarzała wprost niemożliwe i upakarzające nas stosunki, a uściski żydów spolszczonych pozornie dech zaczęły tłumić w naszych piersiach, przeto wyszedł z niej zwycięzcą.

I gdy po dwudziesto przeszło letniej, nie dość jeszcze przez nas ocenionej pracy, złamany fizycznie kładł swą głowę do ziemi, mógł już, jeśli przytomny przenosił się do lepszego świata, pocieszać się tą myślą, że ziarno, jakie wytrwale siał, zrodziło dla kraju plon obfity.

Że wprawdzie nie zdołał doszczętnie złamać potęgi żydowstwa i wyzwolić kraju z jego kajdan, ale wprowadził go na drogi, po których krocząc skruszyć je niewątpliwie musi.

Nie dopuszczając do tego, by sławna ojczyzna nasza zamieniła się w nowoczesną Judeę,

Stając się grobem potomków tych, co z niej przedmurze Chrześcijaństwa zrobili.

Powiedziałem, że wystawiona na walkę i najbezwzględniejsze ataki żargonowego i mechanicznie spolszczonego żydowstwa „Rola", w łonie społeczeństwa polskiego spotkała się, w miarę jak rozwijała coraz więcej swój program, z coraz szerszem uznaniem.

Bo co widzieliśmy wszyscy w tym czasie w bliższej i dalszej odległości?

Oto, że tuż pod bokiem naszym ktoś nie mający z nami nic wspólnego i mówiący gwarą wstrętną i obcą, rozpierał się bezwzględnie i zuchwale, podkopując nasz byt ekonomiczny,

Oto, że przyobleczony w małej cząstce w polską skórę, mając nie co innego również na widoku, jednocześnie pracował wytrwale nad tem, aby nas usypiać i nieodpornymi na niszczycielską działalność żydowstwa czynić, urabiając korzystnie dla siebie opinję kraju i każąc naszą myśl,

Oto, że wszędzie, gdzie miał on znaczenie i wpływ, w Poznańskiem, w Berlinie i Wiedniu, występował nie tylko jako nasz niszczyciel ekonomiczny, ale jako stokroć od najbardziej zagorzałego germanizatora nasz polityczny wróg.

Odwdzięczając się nam za to, że gdy jego współplemieńców, jak dzikiego zwierza ścigano w całej zachodniej Europie, przygarnęliśmy ich wspaniałomyślnie do siebie, równie niebaczni i nieroztropni, jak ten chłop z bajki, który chcąc uratować od śmierci marznącą żmiję, ogrzał ją za pazuchą własną.

Więc, gdy to widzieli wszyscy, nie mogli najrozumniejsi i najpatryotyczniejsi spomiędzy nich nie radować się w duszy, że gdy zahukana i w części znacznej opanowana przez żydów prasa, unikała poruszania sprawy żydowskiej i nawoływania nas do obrony przed nawałą śmierć nam niosącą, znalazło się pismo, co nie oglądając się na nikogo, śmiało i odważnie co tydzień ukazywało nam, gdzie zaczajony siedzi, knując piekielne zamysły, najstraszniejszy kraju naszego wróg.

Czytano więc „Rolę", wyrywając ją sobie niemal z rąk, przyklaskiwano działalności odważnego człowieka, który ją w duchu interesów szczerze polskich prowadził, i gdy w początku, szerzone przez niego zdrowe idee znajdowały uznanie jedynie wśród maluczkich, najbardziej na napór żydowstwa wystawionych, z czasem zaczęły przesiąkać i do wyższych kół, otwierając im oczy na to, co im dotąd złudne asymilizatorskie hasła przyciemniały.

Grunt więc pod to, na co dziś patrzymy, przygotowywał się, kraj trzeźwiał, maskarady żydowskiej, przybliżał się powoli koniec.

Nie przejrzeli tylko długo jedni. Polscy radykałowie i tak nazywający się sami: postępowcy. Tych nie oświecało wschodzące nad krajem powoli słońce. Jak dotąd, nie przestawali krążyć w mroku.

Jak zaznaczyłem wyżej, duchowy ich przywódca, (przyznaję to, choć byłem i jestem zdeklarowanym jego zasad społecznych przeciwnikiem) pisarz miary niezwykłej, Aleksander Świetochowski, oddał się bez zastrzeżeń w służbę żydowstwu, Orzeszkowa, wierząc w to, że spolszczy się z czasem żydów zbiorowa dusza, jawnie stała po ich stronie, tłumy pismaków pośledniejszego gatunku, w „Przeglądzie Tygodniowym", „Prawdzie" i „Izraelicie", gromy w Jeleńskiego ciskając, gotowe były błogosławić nawet nieba za to, że otworzyły wrota naszego kraju dla tej niszczycielskiej szarańczy.

Czy ci ludzie, a przynajmniej ich duchowi przodownicy, byli mniej rozumnymi i mniej patryotycznymi od innych, czy im los kraju tak dalece był obojętny, że wszystko im było jedno co się z nim stać musi, gdy żydowstwo zaleje nam wszystko, opanuje wszystkie gałęzie naszego ekonomicznego i kulturalnego życia?

Nie należałem nigdy i nie należę do ich grona, pod chorągwią ich nie stałem i nie stanę nigdy, gdyż nie w jej cieniu widzę rozkwit mojej Ojczyzny, tego przecież jako żywo nie powiem.

Ale powiedzieć muszę to, czego zamilczeć niepodobna, że wszyscy oni jacy byli (dziś, jak to zaznaczę niżej, dokonała się wśród nich w tym względzie przemiana) nosili kataraktę na oczach.

Tą kataraktą była *ciasna* doktryna.

Radykalni i postępowi, uważający w Polsce wierzącej i katolickiej wroga, z którym walczyć im nakazywał ich program, poza tym wrogiem nie widzieli innego dokoła siebie.

Ale widzieli jedno. Jego wielką siłę. Więc zaczęli szukać sojusznika. Ten, nieproszony, sam się im nastręczył. A był nim nie kto inny, tylko mechanicznie spolszczony żyd.

Ten sam, który w dziesięć lat po równouprawnieniu, przez świeżo założoną „Niwę", zaczął (nie tykając żydowstwa) lżyć nasz kościół, ten sam, który *„urękawiczniony"*, obcując towarzysko z nami, gromy ciskał na polską nietolerancyę, prawił o braterstwie i równości, ten sam, który by o jego polskości nie wątpiono, wygłaszał zawsze krańcowe a tanie tyrady przeciwko tym, co tej polskości z zewnątrz przeszkody stawiali.

Ten sam.

Więc widząc go tak bardzo postępowego, tak polskiego i przesiąkłego ideami humanitarnemi, nie zwrócili oni wcale na to uwagi, że po pierwsze, nie jest on przedstawicielem całego w Polsce żydowstwa, a po wtóre, że stanowi drobną cząstkę tych czarnych żargonowych tłumów z których sam wyszedł, że może mieć i zupełnie inny niż oni interes w zadawaniu ciosów, naszemu, wyhodowanemu wiekami poświęcenia i cierpienia narodowemu organizmowi, że należałoby zatem być bardzo ostrożnym, zanim się wyciągnie rękę do tego, który nią może szukać czego innego, niż ich ręka.

I nie zwróciwszy uwagi na to, rzucili mu się bratersko w objęcia. I rozpoczęli pracę właściwie dla niego.

Walczyli z obskurną i wsteczną, wedle nich, „Rolą”, obrzucali błotem każdego kto myślał inaczej niż oni, jak szaleńcy biegli obłąkani i prowadzili za sobą w przepaść wierne im tłumy.

A żyd tymczasem zacierał z radości ręce, drwiąc w duchu i z tych oślepionych doktryną i z ich haseł, a myśląc jedynie o tem, by, gdy wszystko dookoła schło, przy ich pomocy utuczyć się polskim chlebem.

Była więc to – jak mówi Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” – zapustna swawola, po której miał przyjść wkrótce wielki post: niewola ”.

Tak jest: niewola.

I najstraszniejsza z niewol: bo ekonomiczna, żydowska. Ale na szczęście nie przyszła.

Otrzeźwieli i postępowcy. Niech powinszują sobie nasi polscy żydzi: *oni to*, nie kto inny, jak zobaczymy dalej, przyczynili się do tego i ich otrzeźwienia.

VI

Po latach ciężkich i mrocznych, tak ciężkich, że oddychać było trudno, tak mrocznych, że słońca widać nie było na niebie, w końcu 1905 roku, zaświtała i nad naszemi głowami zorza. W postaci aktu konstytucyjnego.

Niosącego całemu państwu a więc i nam, wolność słowa i prawo przedstawicielstwa w najwyższem ciele ustawodawczem.

Po całym kraju i po stolicy jego Warszawie, powiały nowe prądy powietrza.

Każdy uczuł, że otworzyły się przed nami widnokręgi nowe i szersze.

I w miarę sił swoich i zdolności, zabrał się do publicznej pracy.

Zaczęto zwoływać, niedozwolone dawniej wiece, radzić publicznie nad interesami kraju, wygłaszać mowy o programach różnorodnych.

I żydowstwo nasze postanowiło wykorzystać tę chwilę, i ono wysunęło się na widownię.

I czegoż stanęliśmy się świadkami?

Oto, że zaczęto bezczelnie publicznie lżyć nasz naród, urągać jego bohaterskiej przeszłości, ośmieszając i zwąc gęsią białą jego narodowe godło, które rycerskim ojcom naszym powiewało nad głowami, prowadząc ich do zwycięstw pod Kirholmem, Chocimem i Wiedniem.

Oto, że na wiecach zwoływanych dla tak nazwanego uświadomienia naszej polskiej młodzieży, stanęliśmy oko w oko, z planową pracą nad zdemoralizowaniem jej i zatruciem.

I ujrzeliśmy co?

Że ci co nam lżyli, byli nie kim innym jak postępowymi żydami, pozornie z czarną żargonową masą nie mającymi nic wspólnego, że te, które tym wiecom przodowały, rekrutowały się z grona żydówek spolszczonych, w imię właśnie postępu, którego mieniły się adeptkami, przykładających rękę do naszego duchowego rozkładu.

Pod pokrywką tego postępu, szły ich rzesze w nasz naród, wkraczały na wyżyny społeczne i zniżały się do nizin, rozszczepiały nas na wrogie obozy, nie cofając się przed niczem, byle nas osłabiwszy, wynieść się na przodownicze stanowisko.

To ujrzeli wszyscy w tej pamiętnej, zwanej „*wolnościową*” epoce, i zadrżeli, gdyż nie mogli nie wyczuć, jaka przyszłość, jeżeli się nie ockniemy, od tych arcypostępowych żydów nas oczekuje.

Ujrzeli to i nasi polscy postępowcy.

I zrozumieli, czego dotąd oślepieni namiętnością nie pojmowali, że wiążąc się z żydami w imię postępu, są niczem innem jak narzędziem w ich ręku, w ich zabójczych dla Polski, rozkładowych celach.

I na pamięci stanął im niezawodnie, znany wiersz Wirgiliusza, tak pięknie przez Jacka Przybylskiego spolszczony:

„Tak to wy nie dla siebie

ptaki gniazdka tkacie,

Tak to wy nie dla siebie

owce wełnę macie;

Tak to wy nie dla siebie

miód robicie pszczoły,

Tak to wy nie dla siebie

pług ciągniecie woły”.

„Nie dla siebie” – „*sic vos non vobis*”, lecz dla tego, który już odkrył przyłbicę, i godzi w najświętsze i najdroższe nasze narodowe ideały.

Stanęła więc przed nimi taka alternatywa, albo iść dalej ręka w rękę z żydami i zdobyć sobie śmierć w opinii kraju, albo potargać związek nienaturalny, odtrącić sojusznika, który ich zapał wyzyskuje, dla swoich ciasnych i nic z prawdziwym postępem nie mających wspólnego interesów.

Na szczęście dla nich i dla haseł, którym służby zaprzysięgli, wybrali to ostatnie.

Rozłączyli się z żydami na zawsze.

Postanowili iść dalej bez nich, o własnych, polskich siłach.

Że to postanowienie wsiąkło w ich krew, że po dziesiątkach lat obłąkania (inaczej romansu ich myślowego z żydami nazwać nie mogę) stało się nową ich ideologją, przekonywa mnie o tem arcypostępowej autorki praca, bardzo ciekawa i bardzo znamienna, na którą przecież nie zwrócono dotąd dostatecznej uwagi.

Jest to wydana dwa lata temu książka pani Izy Moszczeńskiej, pod tytułem „*Postęp na rozdrożu*”. (Warszawa. Księgarnia Wendego. Rok 1911. Cena 65 kop.)

Cóż znajdujemy w tej ciekawej książce?

Coś takiego, co kilka lat jeszcze temu, w naszym świecie postępowym, przez żydowstwo zahypnotyzowanym, było wprost nieprawdopodobne, co gdyby dawniej

spod pióra przedstawiciela lub przedstawicielki postępu było wyszło, ściągnęłoby na nich gromy, wobec których wszystkie rozdzierające powietrze w dniach burzy i huraganu, byłyby czemś w rodzaju słodkiego szumu strumyka, toczącego w ukwieconej dolinie swoje wody.

Otwieram pracę pani Izy Moszczyńskiej i oto co w niej znajduję?

Nie mniej nie więcej tylko stwierdzenie tego, że postęp polski i żydowstwo kroczą po linjach równoległych.

Przedewszystkiem, skrajnie radykalna i postępowa (ale przyznać to jej muszę, nie pozbawiona rozumu i trzeźwości) autorka, stawia sobie w swojej książce następujące pytania:

„Gdzie istnieje i w czem leży punkt styczny między sprawą postępu a sprawą żydów, oraz na czem może się opierać mniemanie, o nierozerwalnej łączności tych dwóch kwestyi? Co postęp żydom zawdzięcza i w czem na nich liczyć może?"

I odpowiada na te pytania w ten sposób.

Kiedy na Zachodzie odbywały się masowe pogromy żydów, napłynęli oni do nas w tak wielkiej ilości, jako kraju prawdziwie tolerancyjnego, że *„gdyby z natury swej stanowili pierwiastek dodatni, sprzyjający rozwojowi, postępowy, Polska powinnaby dziś przodować narodom europejskim*". Nic słuszniejszego. Bo nikt tu ich nie prześladował, bo jak o tem przekonywają nasze dzieje, wbrew nawet interesom narodu, brano ich w szczególniejszą opiekę, gdy drobne mieszczaństwo rdzennie polskie domagało się ukrócenia ich jawnego szkodnictwa. Więc skoro tu, gdzie niebacznie stworzono dla nich Eldorado, i gdzie są tak liczni, pozostali najwsteczniejszą gromadą pod słońcem, przeto, (słowa autorki str. 46) *„postęp stwarzał pomyślne warunki dla żydów, nie zaś oni dla postępu*".

Ale, rozumuje ona dalej: *„żydzi jako zwarta masa i zorganizowana, jako społeczeństwo w społeczeństwie, organizm w organiźmie, utrzymać się zakorzenić i rozkrzewić nie mogą tam, gdzie ludność rdzenna jest oświecona, zagospodarowana i zorganizowana*".

I w poparciu swojego twierdzenia przytacza Wielkopolskę i w ogóle zabór pruski. Podczas gdy w Królestwie mamy 14 procent żydów, zaś w Galicyi cieszącej się rządami polskimi 11, w Wielkopolsce jest ich 2 procentów, a na Śląsku polskim niecałe półtora. Dlaczego? Bo, mimo strasznego prześladowania polskości, w zaborze pruskim ludność nasza jest najkulturalniejsza, a (znowu mówi, pani Moszczeńska, nie ja) *„masy żydowskie niby pokłady śniegu topnieją w słońcu kultury, i trzymają się tylko jak śnieg w parowach i szczelinach górskich tam, dokąd jego promienie nie dochodzą, lub też bardzo słabe z rzadka rzucają blaski*".

Bardzo więc sprawiedliwie udowadnia, że w żydach, jako żydach, bynajmniej nie tkwi pierwiastek postępowości, że przeciwnie, wszędzie gdzie ludność wśród której żyją ma jasno w głowach, utrzymać się nie są w stanie.

Lubią z natury mroki i plenią się w mrokach. Pytam, czy innego zdania był nasz mądry i wielki Stanisław Staszic, gdy Polsce, którą tak kochał pozostawił takie przykazanie: *„Między narodem pracowitym, nigdzie ród żydowski utrzymać się nie*

może. Tylko w złych rządach, tylko w tych krajach, gdzie próżniacy mają obronę i trzymają pierwszeństwo bezrządne, tylko tam żydzi obfitują, gnieżdżą się i mnożą".

Zaznaczywszy to, co już wyższy o wiele od jej umysł, nie mając nadto tych danych pod ręką co ona, uznał kilkadziesiąt lat temu za pewnik, że żydzi dla postępu, jako urodzeni wstecznicy, nigdzie warunków nie stworzyli, owszem tamowali go nawet, dodaje niezmiernie słusznie, ku nauce jej braci i sióstr w radykaliźmie społecznym: *„Jeśli można jeszcze u nas z powodzeniem głosić zdanie, że element żydowski jest postępowym czynnikiem, to świadczy to tylko o wielkiej naiwności słuchaczy, o wielkiej odwadze mówiącego, a zupełnym braku poszanowania prawdy z obu stron*" (str. 57).

Wyznanie to uważam w jej ustach za niezmiernie znamienne, czegoś podobnego bowiem, nigdy jeszcze żaden postępowiec polski przed nią nie powiedział, a najsławniejszy z pomiędzy nich Aleksander Świętochowski, kilka lat temu jeszcze pomieścił w „Prawdzie" artykuł swojego pióra, że postęp polski, nie gdzie indziej, tylko właśnie wśród żydów jako arcypostępowców, ma najwierniejszych i najpewniejszych stronników.

Ale wszystko to, co pani Moszczeńska powiedziała w swojej książce, dla udowodnienia tego, że żydzi ściśle biorąc są zacofańcami i wrogami postępu, że się do niego przystosować nie umieją, że im postęp niczego nie zawdzięcza i liczyć na nich nie może, i że nigdzie gdzie ich los rzucił warunków dla postępu nie stworzyli, wszystko to blaknie, wobec stwierdzenia przez nią faktu znanego dobrze, ale przemilczanego w ustach postępowych, że żydzi nigdzie nie zlewają się z resztą mieszkańców, wszędzie pozostają narodem w narodzie: żydami.

Posłuchajmy jej w tym względzie słów:

„Wszędzie żydzi są cudzoziemcami, nigdzie tuziemcami, nawet tam, gdzie żyjąc przez szereg wieków zaaklimatyzują się i przystosują powierzchownie do otoczenia, przyjmując jego język. W braku spójni narodowej, istnieje spójnia rasowo religijna, która sprawia, że polski, rosyjski, niemiecki, francuski żyd, są zawsze między sobą bliżsi, niż każdy z nich członkom tego narodu, wśród którego zrodził się i wychował. Jeśli Niemiec staje się Polakiem, przestaje być Niemcem i na odwrót. Natomiast nigdy się nie wie, czy żyd który został Niemcem lub Polakiem przestał być żydem i w jakim stopniu" (str. 67).

A teraz, czy to co dalej nieco czytam, pod piórem autorki postępowej (i to nie byle jakiej), której partya szła zawsze pod komendę żydowską, nie jest wprost zdumiewającem?

Posłuchajmy znowu uważnie, i odpowiedzmy na to pytanie.

Oto co na stronie 68 w swoim *„Postępie na rozdrożu*" ona pisze:

„Stale w stosunku żydów do nas ujawnia się taka tendencya: wy uważajcie nas za swoich, gdyż jesteśmy dziećmi jednej ziemi, a pochodzenie i wyznanie nie powinno dla was stanowić różnicy, bo taką jest wasza zasada. My zaś uważać was za swoich nie będziemy, bo ojczysta ziemia nie ma dla nas znaczenia, wspólność rasy i religii, a co najmniej tradycyi religijnych, jest dla nas wszystkiem, i taką jest nasza zasada".

Ale dość tego, zamykam ciekawą niezmiernie (jako znak czasu) książkę, pomijam dalszą uwagę pani Moszczyńskiej, że gdy widzi wchodzącego żyda do instytucyi polskiej, nigdy nie wie czy wchodzi on do niej jako Polak, czy jako żyd, (str. 80) i twierdzenie *„że żyd w ziemię nie wrasta, że zawsze Francuzem, Niemcem, Polakiem, czuje się tylko do pewnego stopnia, że rzadko, niezmiernie rzadko poślubi ojczyznę jakąś na złą i dobrą dolę"* (str. 87) dowodzące jej wielkiej spostrzegawczości, i przechodzę do wywodów ogólnych.

Te narzucają się każdemu. A dowodzą czego?

Że polski postęp pod wpływem tego, co się w ostatnich zwłaszcza pokonstytucyjnych czasach stało, nareszcie oprzytomniał, że spotkawszy się oko w oko z cynicznymi przejawami bezprzykładnego zuchwalstwa żydów, słysząc ich bluźnierstwa w rodzaju tych, że *„Polska jest trupem"* a nasze narodowe godło, które nawet ci, co nas pokonali na polu krwawych zapasów, czcili: *„białą gęsią"*, zrozumiał nareszcie ich dążności, i przestawszy się łudzić i co do tych czarnych żargonowych tłumów i tych z pomiędzy ich gromady, z którymi jako rzekomo spolszczonymi szedł lata całe ręka w rękę, a którzy ani myśląc o interesach polskich wyzyskiwali go dla swoich żydowskich celów, widzi już w nich wszystkich to, czem istotnie zawsze byli, są i będą.

Że tak jest, zdaje się świadczyć mi o tem wszystko.

I coraz częstsze głosy prasy postępowej, i niedawne gorące rozprawy w Towarzystwie Kultury Polskiej, które spolszczeni żydzi chcieli zrobić żydowskiem, i publiczne wystąpienia największego i najwybitniejszego sojusznika żydów, Aleksandra Świętochowskiego.

Wszystkim już im opadła łuska z oczów, wszyscy patrzą jasno jak nigdy w przyszłość drogiej im idei, wszyscy pojmują, do czego doprowadziło ich kumanie się z żywiołem, w gruncie rzeczy wrogim wszystkiemu, co bezpośrednio jego celom nie służy.

I patrząc tak i pojmując to, piszą się już dziś wszyscy na to, co wczoraj jeszcze uważaliby za grzech przeciwko postępowi, a co pani Moszczeńska streszcza w następujących słowach:

„Humanitaryzm nakazuje nam współczuć żydom jako ludziom, nakazuje zmierzać do naszych celów środkami dla nich nieszkodliwymi, ale nie nakazuje nam wcale służyć ich celom, i z nimi liczyć się więcej niż z własnymi, ani też przy roztrząsaniu naszych spraw, schodzić z polskiego i ogólnoludzkiego stanowiska, a oglądać je pod kątem wyłącznie żydowskich interesów" (str. 97).

Tak jest, – i biada narodowi, który o tem zapomni, stać się on bowiem prędzej czy później musi pastwą szakali, co się utuczą jego krwią.

Ulełiśmy już jej dla obcych całe potoki, zachowajmy choć resztki dla tych co po nas przyjdą, a którym wielki i miłosierny Bóg, może pozwoli ujrzeć więcej słońca, niż my nieszczęśni widzimy go dziś na niebie.

VII

Sami więc żydzi, zuchwałem zachowywaniem się w czasach pokonstytucyjnych, przyczynili się w znacznej części do tego, że nam wszystkim otworzyły się oczy, że ukazało nam się w całej grozie niebezpieczeństwo żydowskie dla Polski, może ze wszystkich, jakie na nią w ostatnich czasach z Bożego dopuszczenia przyszły, największe, bo godzące już nie w polityczny, ale w ekonomiczny jej byt.

Grożące jej ogłodzeniem i zniszczeniem doszczętnem. Ku pożytkowi i chwale tych, którzy, gdy największe petencye Europy unicestwić nas przez sto lat przeszło nie zdołały, umyślili wtrącić nas w grób.

Widząc nas otoczonych zewsząd wrogami, i nie mogącymi dziś, (*bo jutro do Boga należy*) znikąd oczekiwać pomocy, z jednej strony, a z drugiej przygotowany dla siebie w naszem własnem środowisku grunt, przez wszczepienie w krew naszą zarazka, przesiąkniętego skrzywionym humanitaryzmem i mrzonkami asymilizacyjnemi, a w gruncie rzeczy będącego nie czem innem, jak trucizną żydowską, w krótkowidztwie swojem, które żydów zawsze cechowało, sprowadzając na nich w kolei wieków niejedną klęskę, sądzili oni, że nas już na świecie nie ma, a jeżeli kołaczemy się jeszcze, to jako przeżytki bezpowrotnych czasów, niby Fellahowie egipscy lub indyjscy Paryasi!!...

Więc rzucili się na nas całą zgrają.

I usłyszeliśmy od nich to, czego nie dali nam nigdy słyszeć nawet ci, z którymi toczyliśmy bój w kolei długich wieków, że jesteśmy „*trupem*", z którym się już rachować nie warto.

I zatarli z radości ręce, gotując się do zagrabienia spadku po tym trupie.

Gdyby nie byli tak zuchwali, gdyby namiętność nie zaćmiła ich oczów, i mieli rozum, jaki w nich upatrują ci naiwni wśród nas, którzy utożsamiają z rozumem właściwe im jedynie: *przebiegłość i spryt*, oryentowaliby się lepiej w położeniu, widzieli, że musi nie być bez znaczenia ktoś, przeciwko komu najsilniejsi tego świata mobilizują ogromne siły, *boć z trupami nikt nie walczy*, ale żyd nigdy i nigdzie rozumem się nie rządził, a natomiast zawsze i wszędzie pozory biorąc za rzeczywistość, szedł za drapieżnym swoim instynktem, wiekami w swojej duszy nagromadzonej ku całemu chrześcijańskiemu światu nienawiści, dając niepohamowany upust.

Więc wypierając nas, gdzie tylko mógł z naszych placówek, grabiąc wszystko co się dało, jednocześnie przeciągał strunę, sądząc że nigdy ona na jego łuku, skierowanym w naszą pierś, nie pęknie.

Że się rozczarował pod tym względem, że struna pękła, niechaj sobie powinszuje.

Bo stanęli przeciwko niemu niemal wszyscy, bo skoalizował się, by odeprzeć jego zabójcze ataki cały prawie naród, bo z żywiołową siłą rozbiegły się po kraju naszym hasła obrony przeciwko żydowstwu, jeżeli się nie chce rzeczywiście zginąć.

Postępowcy nasi, najpóźniej, jak widzieliśmy, przyjęli te hasła za swoje, najdłużej ulegali złudzeniom, i oni przecież swą duszę polską postawili ponad duszę żydowską.

Ale ten koncert, choć wspaniały i harmonijny, ta robota choć rozumna i obywatelska, nie obyły się bez zgrzytu.

Ku powszechnemu zdumieniu odezwał się on tam, gdzie z nim najmniej spodziewał się każdy z nas spotkać.

W tak zwanem stronnictwie „*Realistów*".

Gdy więc wszyscy prawdziwie narodowo usposobieni, rozpoczęli ekonomiczną z rozkładowem a napierającem na nas bezczelnie żydowstwem walkę, oni jedni (przypuszczam że nie wszyscy) przeciwstawili się prądowi ogólnemu, a jeden z ich publicystów, ba! redaktor nawet, który zawsze chętnie wysuwa się na pierwszy plan, jako głosiciel zasad pracy organicznej i trzeźwości, wziął żydów przeciwko własnemu narodowi, z łona którego wyszedł, i który, jak o tem zawsze głosił, najserdeczniej kochał, w tak tkliwą opiekę, że dała ona bardzo dużo do myślenia każdemu, kto nie mógł sharmonizować jej z jego programem, organizowania nas w zwarty związek, godzący się ze złą i dobrą polityczną dolą, ale za to pracujący z wytężeniem nad wzmaganiem swych duchowych i materjalnych w domu sił.

Zaczęto więc *znacząco* pytać, azali możliwe jest takie, jak u niego, rozszczepienie duszy i doszukiwać się pobudek tego żydolubstwa, w źródłach niewiele z ideologją mających wspólnego.

Bo cóż jest w ruchu przeciwżydowskim, który ogarnął dziś cały naród polski, takiego, co by usprawiedliwiało opozycyę tych, którzy się Realistami, jak w pierwszej linii ten publicysta i redaktor, u nas mienią?

Czy jest to ruch rewolucyjny, przeciwko któremu zawsze i wszędzie tak energicznie oni występowali, gasząc ogień tam nawet, gdzie go wcale nie było? Czy prowadzi on Polskę do samobójczych celów, grozi rozlewem krwi, pozbawieniem nas resztek naszych narodowych praw, narażeniem na represye ze strony rządu?

Ależ jest to walka ekonomiczna, więc pokojowa w całem znaczeniu tego wyrazu, bynajmniej nie o politycznym podkładzie, nie wchodząca z rządem w kolizyę, a kierująca całą energię narodową ku temu, przeciwko czemu najpodejrzliwszy na świecie rząd, nie mógłby mieć nic do nadmienienia.

Z kądże zatem gniew, *inde ira*?

Jeśli więc, gdy o poszczególnych publicystów stronnictwa tego chodzi, można w ich dziwnem zachowaniu się doszukiwać się *pobudek dwuznacznych*, to gdy się widzi zrównoważone stronnictwo, którego o poziome pobudki posądzać nie wolno, w takiej chwili po stronie przeciwnej dążeniom całego niemal narodu, należy prawdziwie ubolewać, że się tak źle w położeniu oryentuje.

I że własnemu programowi, którym jest zdrowa praca u podstaw, sprzeniewierza się.

Nie bacząc na to, że taki w programie jego wyłom, bynajmniej nie przyczyni się do podniesienia jego kredytu w narodzie, który mógł politycznie, skutkiem win własnych i nie własnych upaść, może dać sobie wyperswadować, by się nie rzucał z motyką na słońce, ale *nigdy, przenigdy*, nie da się wodzić na pasku ludziom, co mu radzą, ażeby gdy go robactwo żydowskie obsiadło i gryzie, dał mu się zagryźć na śmierć.

Że żydowstwo zbyt przebiegłe i o stosunkach naszych domowych uświadomione, doskonale rozumie, iż pomoc, jaką mu w walce o byt Polski udziela, ku *zdumieniu całej Polski* stronnictwo polityki realnej, (jestem pewny, że z wyjątkami, bo choć się z niem nie łączę, przyznać przecież muszę, że są w niem ludzie bardzo rozumni i przede wszystkiem dobrzy Polacy), że żydowstwo, powtarzam, rozumie zbyt dobrze, iż pomoc ta nie na wiele mu się przyda, świadczy mi o tem to, że pomimo swojego zuchwalstwa, lękając się o swoją przyszłość, zyzuje w inną stronę.

W stronę rządu i rzekomo liberalnej opinii w Rosyji.

I denuncyując nas z jednej strony u sfer miarodajnych, przedstawiając ruch ekonomiczny najspokojniejszy i najlojalniejszy pod słońcem, jako grożący niemal oderwaniem Polski od Państwa i zdradą stanu, z drugiej przez pisma rosyjskie, będące na jego żołdzie, urabia niekorzystnie dla nas opinję liberałów Rosyi, ciasnych doktrynerów i teoretyków, którzy, znając się na naszych stosunkach, jak murzyn na obrazach naszego wielkiego Matejki, ręką długą na mil setki, chcieliby uszczęśliwiać nas wedle swojej aptekarskiej recepty.

Z jednej więc strony błagają niemal rząd, aby dla uspokojenia kraju zesłał Polsce nowego Murawiewa, którvby naciskając nas na nagniotki, swojemi rękami wyjmował dla nich kasztany z ognia, pozwalając im nas grabić i niszczyć, jak nas niszczyli i grabili przez długie lat dziesiątki, a z drugiej, w płatnej przez siebie rosyjskiej prasie, obwołując nas za wsteczników, barbarzyńców niemal, przedstawiając siebie, baranki niewinne! Jako ofiary bezprzykładnej dzikości.

A wszystko w tym celu, aby nas, dobroczyńców swoich, wśród których musiało im być dobrze jak w niebie, skoro się tak rozplenili i majątkowo rozwielmożnili, dalej mogli spokojnie toczyć, tucząc się naszą krwią.

Póki nie oddamy ostatniego tchnienia,

Póki na sławnej księdze naszych bohaterskich dziejów, walk krwawych w obronie Chrześcijaństwa i o wolność, poświęceń bezgranicznych, bezprzykładnych cierpień, naszych łez, naszych jęków, naszej krwi, póki na tej świętej księdze, nie położymy cmentarnego krzyża!

Bo o to im wszystkim chodzi.

Bo do tego wszyscy, jak jeden mąż dążą.

Bo o to w dniach szabasu swego, do swojego Boga mściwości się modlą.

Nie przebierając w środkach, nie licząc się z niczem, niczem nie krępując się ani na jedną chwilę.

Gdy krzyki ich gazet, wydawanych w Warszawie w żargonie i po polsku, nie wystarczają, denuncyują nas u rządu, gdy nie są pewni, czy ten rząd, znając ich dobrze i ograniczając co dzień niemal, jak się ogranicza urodzonego szkodnika, weźmie ich przeciwko nam w opiekę, podszywają się pod skrzydła liberałów rosyjskich, których myśl każą, jak kazili tak długo, niestety, myśli naszych postępowców, gdy ich i to zawodzi, idą z żalami na rynki Europy, i tam, przedstawiając nasz naród, najtolerancyjniejszy w świecie, jako wcielenie zwierzęcości, podstawiają nam nogi. I tylko jedno, czego nie robią, nie wchodzą w siebie, nie oceniają się, jak należy, nie chcą rozumieć tego, co tak trafnie pani Iza Moszczeńska, w książce, którą zajmowałem się w poprzednim rozdziale tej pracy im wytknęła, *„że jeżeli ktoś (jak oni) jest stale prześladowanym przez los i to we wszystkich okolicznościach życia, jasną jest rzeczą, że los ten nie zewnątrz, lecz wewnątrz niego ma swą siedzibę, że leży to w naturze człowieka, nie w naturze rzeczy"*. (str. 62 *„Postępu na rozdrożu"*).

Ale oni, choć ich za tak mądrych, za jakich ich nasi krótkowzroczni uważają, ja nie uważam, rozumieją to dobrze, jeśli zaś nie schodzą z niszczycielskiej drogi, na którą ich los rzucił, to dlatego, że *pochód po niej stanowi wszędzie cel ich żywota*.

Więc idą po niej, a że w Polsce widzą dotąd linję najsłabszego oporu, prą więc całą siłą na tę linję, w nadziei, że gdy ona pęknie, słowa, których Kościuszko pod Maciejowicami nie wypowiedział: *„Finis Poloniae"*, (Koniec Polski) wypowie ku ich uciesze cały świat.

Ale niedoczekanie ich!

Polska się zbudziła i przejrzała, z gościńca, na który, dzięki im po części, wkroczyła, sprowadzić się już nie da.

Pójdzie z żywiołową siłą do swojego ekonomicznego wyzwolenia.

Otrząśnie się z robactwa plugawego i zuchwałego, co ją toczy od wieków.

I odrodzi się.

Więc wasze szatańskie wysiłki, denuncyacye u rządów, szkalowanie w rosyjskiej i europejskiej opinii publicznej, bałamucenie wśród nas jednych, za judaszowskie srebrniki kupowanie sobie drugich, nie na wiele się wam przydadzą, jak w Wielkopolsce i w ogóle w zaborze pruskim, gdzie dzięki rozbudzonej naszej sile, topniejecie z roku na rok, stopniejecie i tu, pierś polska odetchnie powietrzem czystem i zdrowem.

A od wysiłków naszych, by się od was otrząsnąć, od zabiegów, by wzmódz nasz dobrobyt materyalny, a co zatem idzie i nasze zasoby moralne, i tym sposobem zgotować Polsce promienniejszą dolę, od tych, powtarzam, wysiłków naszych i takich szlachetnych zabiegów – jak powiedział wielki twórca *„Psalmów Przyszłości"*:

„Patrzący wiecznie z góry,

Nie odwróci twarzy Bóg".

VIII

Ze wszystkich dzielnic polskich, które na skutek trzech rozbiorów naszej Ojczyzny dostały się trzem sąsiednim państwom, najcięższa i najboleśniejsza dola przypadła w udziale bezsprzecznie tej, która weszła w skład żarłocznych Prus.

Złożyły się na to dwie przyczyny.

Po pierwsze, dzielnica ta jeszcze za czasów niezależnej Polski, po miastach zwłaszcza, była bardzo zniemczona, a po wtóre, weszła w styczność z organizmem, od wieków toczącym nieubłagany bój ze wszystkiem, co nie było niemieckiem, uważającym ten bój za swoje posłannictwo dziejowe, zahartowanym do niego niezwykle od czasów, poprzedzających pojawienie się na wschodzie Europy drapieżnych Krzyżaków.

Co więcej, wniosła w skład tego organizmu, wraz ze swoją rdzenną ludnością, ludność obcą i od wieków nam nieprzyjazną, a mówiącą żargonem, będącym nie czem innem, jak zepsutym językiem jego własnych niemieckich mieszkańców.

Gdy więc dwie dzielnice inne, w kolei, i dla nich również więcej smutnych niż wesołych czasów, miały przecież chwile wytchnienia, w których słabł nacisk wynaradawiania, ta, którą ubłogosławiły nieba opiekuńczym rządem pruskim, prócz krótkotrwałej za namiestnictwa w Poznaniu księcia Radziwiłła, chwil takich nie miała, przez ciąg długich dziesiątków lat, wystawiona była na walkę o śmierć i życie z przeciwnikiem potężnym, rozporządzającym w stosunku do naszych sił, środkami wprost przygniatającymi.

Zdawało się więc, że gdzie jak gdzie, ale tam paść musimy, tworząc nad Wartą, dolną Wisłą, Notecią i górną Odrą, nowe cmentarzysko słowiańskie, i torując niemczyźnie po naszych trupach zwycięski pochód, w głąb skazanej przez nią na zagładę Polski.

Tak się zdawało przedewszystkiem tym, którzy w materialnej sile widzą wszystko, dla których czynniki duchowe w życiu ludzi i ludów nie grają najmniejszej roli: tak zdawało się przedewszystkiem żydom.

Więc widząc nas słabych i powalonych na ziemię z jednej strony, a z drugiej olbrzyma, który okutą w stal nogą, gniótł nam bez miłosierdzia pierś, dla zjednania sobie jego łask, stanęli od razu i bez zastrzeżeń, przeciwko nam, po jego stronie.

I udając takich samych, jak on Niemców, nie poprzestali na okazywaniu mu platonicznej jedynie sympatyi, ale gdzie tylko mogli, już na własną rękę zaczęli nam krew spod serca upuszczać, o wiele hałaśniej nawet od niego wykrzykując hasła germanizacyjne.

Gdy więc w Galicyi, z mniej narodowo niemieckiem niż Prusy państwem połączonej, poprzestawali na cichej kreciej robocie, by nas ekonomicznie niszczyć, a w Królestwie, w epoce Wielopolskiego, gdy praw nie mieli, a pragnęli je

maskaradą pozyskać, obwoływali się nawet za „*Polaków wyznania mojżeszowego*”, pod zaborem pruskim, od razu i bez ceremonii ukazali społeczeństwu polskiemu swoją czarną duszę, mniemając w krótkowzroczności swojej, że jesteśmy tam już „*na etacie wymierających*”, więc rachować się z nami nie potrzebują, a natomiast może tą komedją niemieckości, wyżebrzą dla siebie coś niecoś od potężnego rządu.

To ich zachowanie się tam wobec nas, prawdę powiedziawszy, wyświadczyło wielkopolskim braciom naszym niezmierne przysługi, uchroniło ich bowiem od romansu polsko-żydowskiego, który nas tu tak bardzo kosztował.

Uczyniło społeczeństwem więcej zwartem i jednolitem, niż my, tu.

Zabezpieczyło ich od publicznych po instytucjach społecznych, i prywatnych w kółkach rodzinnych stosunków z tymi, o których, choć się powierzchownie niczem od nas nie różnią, my w Warszawie nigdy na pewno wiedzieć nie możemy, po czyjej stronie, polskiej czy żydowskiej, staną oni, gdy wejdą w grę dwa te interesy.

Zatem – powtarzam – z powodu przyczyn które powyżej wyłuszczyłem, w smutnej doli naszego narodu, dola tej części Polski, którą wziął Prusak, była bezsprzecznie najcięższa i najboleśniejsza.

Czy pomimo, że tak bezsprzecznie było, na całym obszarze już nie tylko etnograficznym ziem polskich, znajdzie się dziś choć jeden taki Polak, którzyby nie przyznał, że dzielnica ta, nie tylko jak sądzili Niemcy i żydzi, nie zginęła, ale owszem, w stosunku do dwóch innych spotężniała, świecąc pod wieloma względami całej Polsce wspaniałym przykładem?

A co sprawiło, że tam cud taki się stał, że wbrew rachubom ludzkim nie rozsypał się w gruzy budynek wystawiony na potężne ciosy z zewnątrz, że polskość pod zaborem pruskim nie tylko że się nie cofnęła, ale przyniosła w ofierze całemu narodowi przepadły już, jak się zdawało, Śląsk Górny, i narodowo uświadomionego, a ekonomicznie z niewoli żydowskiej wyzwolonego chłopa?

Nie co innego, tylko, przy wierze w Boga i w siebie, wzbudzenie w sobie uświadomienia, że aby żyć i oprzeć się temu, co śmierć niesie, należy w organizmie swym podtrzymywać zdrową krew.

Stworzyć sobie krzepki grunt pod nogami. Nie spuszczając przy tem z uwagi wielkiego dobra duchowego, jakiem jest narodowa oświata.

Wystawieni na bezprzykładne w dziejach ciosy, wzięci we dwa ognie: niemiecki i żydowski, Polacy z zaboru pruskiego uświadomienie takie w sobie wzbudzili, i temu mają do zawdzięczenia, że gdy jeden ich śmiertelny wróg Niemiec, rujnując się by ich zniszczyć, i na pogardę całego cywilizowanego świata wystawiając, szatańskiego celu swego nie osiągnął, drugi, kto wie, czy od Niemca nie straszniejszy: żyd, widząc że wśród nich nie ma co robić, gdyż ssać mu się, jak pijawce nie pozwolą, wynosi się od nich w inne strony, gdzie dla jego pasożytniczych instynktów znajdzie się być może więcej podatnego pola.

Praca więc u podstaw, praca zdrowa, której zawsze i wszędzie błogosławi Bóg, obezwładniła znakomicie jednego z ich ciemięzców, stopiła jak lód słońce, drugiego,

ucząc obu, że *niespożytym jest ten naród*, który nie w histerycznych szamotaniach się i mierzeniu sił na zamiary, *ale w niej i w niej przedewszystkiem, widzi kotwicę swojego ocalenia.*

Gdyby nie ta praca, która się streściła w szerzeniu w masach ludowych oświaty z jednej strony, a z drugiej w tworzeniu dla nich (jako filarów przyszłości narodowej) banków i kas pożyczkowych, stowarzyszeń spółdzielczych i kółek rolniczych, kto wie, czy dziś przy naciśnięciu przez Niemców tak bardzo germanizacyjnej śruby, na obszernych błoniach zachodnich naszych kresów, nie wałęsałyby się już jedynie niedobitki polskości, w obliczu rozpanoszonego Niemca i żyda.

Kto wie? A *przy niej i przez nią,* stworzyła się tam na podobieństwo Czechów społeczność zdrowa i krzepka, stawiająca zwycięzko czoło najbardziej barbarzyńskim ustawom, jakie jeden naród dla zgładzenia drugiego w obłąkanym dzikością mózgu swoich kierowników mógł wymyślić, podczas gdy Niemiec przygląda się temu w osłupieniu, a żyd, któremu tam stało się ciasno, ustępuje, wypierany przez polskiego mieszczanina i chłopa, dozwalając naszej piersi odetchnąć szerzej i lżej.

I jasno się robi nad bratnią ziemią, nad którą tyle chmur zawisło, i o jej przyszłość dziś Polska cała, drżeć już na szczęście nie potrzebuje.

Gdy nie szukając przykładów daleko, wstąpimy wszyscy jak jeden mąż, i my w jej ślady, i nam tu zaświtać musi jutrzenka odrodzenia.

* * *

Powiedziałem na wstępie tej mojej pracy, że sprawa żydowska, dająca dziś każdemu Polakowi duże pole do głębokich rozmyślań, jest to sprawa przyszłości naszego kraju.

Sprawa naszego: *„być albo nie być”*, *„to be* – jak powiedział w „Hamlecie” Szekspir – *or not to be*”.

Powtarzam to z naciskiem, w chwili gdy dobiega ona do końca.

Starałem się tę sprawę przedstawić rzeczowo i spokojnie, ukazać jej jaskrawość, zwrócić uwagę na całą grozę niebezpieczeństwa, jakie, jeśli pozbywszy się chorych sentymentalizmów dla obcych, przy kamiennem sercu dla swoich, nie rozwiążemy jej szybko i rozumnie, podkopie nasz byt.

Już nie jako samodzielnego państwa, o podkopanie którego, inni, nie zdoławszy nas przecież zniszczyć, się postarali, ale jako narodu odrębnego od innych, i mającego obowiązek, dla dobra całej ludzkości i słuchania nakazu Boga, który narody stworzył, żyć i rozwijać się w duchu swoich tradycyi historycznych i cywilizacyjnego posłannictwa.

Czytelnik, jeśli uważnie śledził za przewodnią moją myślą, nie może mieć żadnych wątpliwości, jakie w stosunku do tej sprawy, sam jako obywatel kraju, dbały o *jego przedewszystkiem dobro*, zajmuję stanowisko, i jakie pragnąłbym, by zajęli wszyscy moi rodacy, którym ten dziś tak nieszczęśliwy, a tak przecież zasłużony dla świata kraj, jest, bo powinien być, najdroższym na świecie.

Stanowisko to streszcza się w tem:

Gdy żydzi, jako żargonowa masa, skorzystawszy z równouprawnienia, w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, owładnąwszy naszemi miastami i w znacznej części handlem i przemysłem, podrywają nasz ekonomiczny byt, i pragnąc z Polski stworzyć nową Judeę, kopią nam Polakom grób, należy ich przez instynkt zachowawczy, pokojowymi środkami zwalczać, *jako najstraszniejszych szkodników*.

Gdy stosunkowo drobna garstka spolszczonych ich współplemieńców i współwyznawców (z niezmiernie małymi wyjątkami, gdyż nie przeczę, że i one wśród nich są), jeśli nie najwyraźniej po żydowskiej opowiada się stronie, to w każdym razie, wbrew interesowi kraju, zmierza do celów, które nie są naszymi, należy, nie szalejąc z radości, że w domowych stosunkach posługuje się ona nie żargonem, ale wspaniałą i przebogatą mową Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, jedną z najwspanialszych jakie zna świat, skoro o polskie interesy kraju chodzi, budować przyszłość tego kraju *własnemi rękami*.

Nie oglądając się na wątpliwych sprzymierzeńców, w pełnem uświadomieniu, że zawsze i wszędzie tacy są gorsi od jawnego, ale szlachetnie, z odkrytą przyłbicą walczącego nieprzyjaciela.

Tak mojem zdaniem robić należy.

I to nie oglądając się na nic, nie łudząc niczem, nie krępując się ani obawą, że go za to ich kocha ojczyznę swoją nad wszystko, okrzykną ci, którzy niczego prócz siebie nie kochają, za wstęcznika, ani stosunkami towarzyskimi ze spolszczonymi żydami, krępującymi u nas nie jednych, i odżydzać kraj nasz, jak go w zaborze pruskim nasza Wielkopolska, Górny Śląsk i Prusy Królewskie rozumną pracą prawie już doszczętnie odżydziły.

Bo jeżeli słusznie powiedział Arystoteles, związany stosunkami ścisłej zażyłości ze swoim nauczycielem: *„Przyjaciel Plato, lecz większa przyjaciółka prawda"* (Amicus Plato, sed magis amica veritas), to o ileż większa, czystsza i świętsza tkwi słuszność w zdaniu, które powinno być regulatorem jedynym naszych myśli i dążeń:

Przyjaciółmi mogą być ludzie, zasady i stronnictwa, ale największą przyjaciółką jest Ojczyzna. Maxima Amica Patria.

Pisałem w Szwajcaryi w lutym i marcu 1913 r.

Spis Treści